

Do stolicy Urugwaju przyплыliśmy po trzydziestu trzech dniach rejsu. Stolica tego kraju przywitała nas bardzo gorąco, i nie mam tu na myśli jakiegoś hucznego powitania. Po prostu temperatura przekraczała czterdzieści stopni Celsjusza.

Port leży w samym sercu miasta, do starówki jest dosłownie parę przecznic.

Kiedy udało nam się wyjechać ze statku, czekaliśmy przez pół godziny na agenta. Gdy się wreszcie pojawił, wskazał jedynie budynek odpraw celnych, znajdujący się kilkaset metrów dalej, gdzie musieliśmy podjechać. Tam znowu czekaliśmy, dostając cały czas informacje, że:

- Taka tu w Urugwaju biurokracja.
- Nie wiadomo, ile to może potrwać, może godzinę, może dwie, a może... *mañana*.

Wszyscy pasażerowie statku, którzy oczekiwali razem z nami na swoje podstemplowane dokumenty, byli niezwykle podnieczeni. Wszyscy jak jeden mąż chcieliśmy już wyruszyć w naszą podróż.

Pierwsze zderzenie z Urugwajem to zderzenie z językiem. Ludzie nie mówią po hiszpańsku. Nie mówią! Porozumiewają się swoim *castellano*, ale mocno południowoamerykańskim,

ze wszelkimi naleciałościami z innych języków właściwych dla danego regionu.

W Montevideo mieliśmy przyjemność gościć u Martina; znaleźliśmy kontakt do niego, korzystając z portalu społecznościowego Couchsurfing. Ponad trzy miesiące wcześniej uzgodniliśmy z nim nasz przyjazd. Trochę byliśmy niespokojni, ponieważ na statku, z powodu braku internetu, nie mogliśmy potwierdzić dokładnej daty przyjazdu. Zawsze istniało ryzyko, że plany Martina się zmieniły.

Czekając na stempelek w paszporcie, zadzwoniłam do Martina, by potwierdzić nasz przyjazd. Odebrała jego dziewczyna, która potrafiła powiedzieć parę zdań po polsku, nie na tyle jednak, by prowadzić swobodną konwersację. Szybko więc oddała słuchawkę Martinowi. Byliśmy mile zaskoczeni, że czeka na nas, że ma przygotowane miejsce. Zadeklarował swoją pomoc, gdybyśmy mieli jakiegokolwiek problemy z dotarciem do niego.

Po załatwieniu wszelkich formalności wjazdowych (czyli czasowego pozwolenia na wjazd z motocyklami) rozpoczął się pierwszy motoryzacyjny kontakt z Ameryką Południową. Dla nas wszystko było nowe – system oznaczenia ulic, sygnalizacja świetlna (w Urugwaju sygnalizatory stoją za skrzyżowaniem, nie przed jak w Europie). Większość ulic jest jednokierunkowa, co często nie sprzyja odnalezieniu właściwej drogi. Po półgodzinie przeciskania się przez gęstniejący ruch uliczny, kilkakrotnym gubieniu i odnajdywaniu drogi wjechaliśmy w dzielnice niskiej zabudowy i dotarliśmy do mieszkania Martina.

•

Martin jest aktorem, spędził cztery lata w Polsce, gdzie nauczył się naszego języka, i dzięki temu nie mieliśmy bariery językowej. Takie spotkanie „na pierwszy strzał” dużo nam dało, bo mogliśmy w miarę spokojnie i bezstresowo wejść w latynoskie

klimaty, mając lokalnego przewodnika. Po miesiącu spędzonym na statku i braku możliwości rozmowy po polsku z innymi osobami niż własny współmałżonek mieliśmy sposobność wygadać się do woli.

Pierwsze, co nas uderzyło, gdy przybyliśmy do domu Martina, to zestawienie smaków. Zostaliśmy poczęstowani na dzień dobry twardym blokiem dżemu z membrilli (taki rodzaj pigwy), niesamowicie słodkim, z żółtym serem. Wiedzieliśmy, że w Polsce także ludzie jedzą dżem z żółtym serem, ale sami raczej tego nie praktykowaliśmy.

Martin dużo nam wyjaśniał, pokazywał, namawiał do różnych rzeczy i przestrzegał przed tym, czego nie powinniśmy robić. Z każdą chwilą dowiadaliśmy się coraz więcej o zwyczajach Urugwajczyków.

Na przykład w Urugwaju praktycznie nie istnieje dom bez parrilli. Parrilla to rodzaj zabudowanego grilla, na którym piecze się mięso, głównie wołowinę. Jest w każdym domu tak obowiązkowa, jak co najmniej toaleta, o ile nie bardziej. Montevideo jest bardzo zielone, ogromna ilość trawników, drzew, zadrzewionych parków, ocienionych alejek dodaje miastu wiele uroku.

To, co nas niebywale zaskoczyło, coś, czego się nie spotyka w Polsce, głównie z powodu klimatu, to wieczorowa obecność wielu osób na plaży. Plaża w Montevideo jest szeroka na kilkadziesiąt metrów, położona bezpośrednio przy spacerowej promenadzie miasta, gdzie znajdują się też apartamentowce z widokiem na ocean. O godzinie dwudziestej trzeciej nadal było bardzo ciepło, ale na tyle chłodno, by po upalnym dniu móc odpocząć na piasku, pluszcząc się w wodzie, jedząc, bawiąc się. Ludzi było tyle, ile normalnie w upalny dzień jest na plaży nad Bałtykiem. A tu ciemno, noc... Pełny księżyc na niebie. Zaskakujące. Wiele jeszcze rzeczy i zwyczajów w Ameryce Południowej będzie dla nas zaskoczeniem, co w dużej części

będzie zasługą klimatu. Miasta w południe pustoszeją, spacerują głównie turyści.

Nasz pierwszy dzień w Urugwaju minął bardzo ekscytująco. W nocy spaliśmy całkiem dobrze, choć było bardzo gorąco i wydawało się, że latają komary. Dostaliśmy od Martina wielki materac i miejsce na niego w części domu, w której odbywa się nauka flamenco. Dziewczyna Martina była nauczycielką flamenco i udzielała lekcji tańca dla dzieci w domu, w którym mieszkaliśmy. Na całej powierzchni ściany było ogromne lustro, tak jak przystało na profesjonalną salę do ćwiczeń. Na ścianie wisiały wachlarze, a na półkach poustawiane były buty do tańca.

Kolejny ranek zaczął się o ósmej od spokojnego śniadania, podczas którego dużo rozmawialiśmy, mieszając polski i hiszpański. Dostaliśmy mocną kawę, owoce, suszone śliwki, ser ricotta, żółty ser, blok marmolady, czerwoną paprykę i jabłka, a także ciastka przypominające podpłomyki.

•

Próbowaliśmy się zorganizować, ale mieliśmy wrażenie, że wszystko było trochę w rozsypce.

ZA DUŻO MAMY RZECZY.

Albo mieliśmy nieposegregowane jak należy. Nie wiadomo, gdzie były koszulki, a gdzie inne drobiazgi. Gdy byliśmy w naszej poprzedniej podróży w Azji, mieliśmy dużo lepiej pod tym względem – jeden plecak na osobę i tyle. Ale to była wyprawa bez motocykli...

U Martina zostawiliśmy trochę rzeczy typu książki, przewodniki, niepotrzebne ciuchy. Już w Hamburgu wydawało się nam, że mamy za dużo bagażu. Ale jeszcze nie czuliśmy tego tak dotkliwie, jak podczas pospiesznego pakowania się na motocykle przy zjeździe ze statku.

Po śniadaniu poszliśmy do pobliskiego sklepiku po zakupy.

Za tak miłe przyjęcie chcieliśmy się odwdziaczyć zrobieniem czegoś do jedzenia znanego z Polski.

Wybór padł na ruskie pierogi. Martin podczas swojego do-
syc długiego pobytu w Polsce bardzo je polubił. Odwiedziliśmy
sklep spożywczy i warzywniak, kupiliśmy potrzebne produkty.
Co prawda twaróg był trochę inny niż u nas, ale musiał taki
wystarczyć. Produkowany jest tutaj tylko ser ricotta, czyli ro-
biony z serwatki.

Przy okazji ogarniamy się w cenach. Tanio nie jest. Urugwaj
jest jednym z najdroższych państw w Ameryce Południowej.
Ceny paliw są wyższe niż w większości krajów europejskich.
Będziemy musieli się mocno pilnować, aby nie wydać za dużo
na samym początku wyjazdu.

Wracając ze sklepu, zaobserwowaliśmy, że dzielnica, w której
byliśmy, to teren małych domków jednorodzinnych. Większość
ulic w miastach Ameryki Południowej jest wytyczona na planie
kwadratu, co znacznie ułatwia orientację w terenie. Pozwala to
podczas pytania o drogę czy kierunek jazdy łatwo zlokalizo-
wać cel, ponieważ operuje się tu „kwadrami” (*quadra*), czyli
kwadratami.

Podczas „produkcji” pierogów słuchaliśmy polskich ludo-
wych piosenek i przyśpiewek. Nasz gospodarz był ich wiel-
kim fanem. Tłumaczyliśmy tekst ludowej piosenki na bardziej
współczesną wersję. Znaczenie wielu słów się zmieniło, a części
już się nie używa. Martin, pomimo bardzo dobrej znajomości
polskiego, nie rozumiał wszystkich treści.

•

Kolejnego dnia zostaliśmy zaproszeni na śniadanie do mamy
Martina. Cleusa Oliveira de Souza jest Brazylijką, a co za tym
idzie – ogromną fanką futbolu. Brazylijskiego, rzecz jasna. Śnia-
danie przygotowane zostało w stylu brazylijskim: arbuzy, melony,

banany, winogrona, brzoskwinie. Mnóstwo świeżych owoców. Do tego marmolada truskawkowa, żółty ser i szynka. Wszystko to poprawialiśmy płatkami z jogurtem owocowym. Dodatkowo dostaliśmy suszone śliwki (ale suszone suszone, a nie jak w Polsce wędzone) oraz orzechy brazylijskie. Na deser były pyszne rogaliki z ciasta francuskiego z *dulce de leche* (czyli z kajmakiem). Całość wieńczył pyszny, po prostu wspaniały, smakowity sok z wyciskanych pomarańczy. A później mocna, aromatyczna kawa.

Cleusa to fantastyczna osoba. Mówiła dużo, jak najbardziej po hiszpańsku, chociaż jej ojczystym językiem jest portugalski. Opowiadała nam dużo o sobie: ma sześćdziesiąt cztery lata, gra namiętnie w koszykówkę, dużo pływa, dobrze się odżywia, czyli ogólnie prowadzi zdrowy tryb życia. Cleusa oprowadziła nas po swoim domu, pokazała miejsce na dachu, na którym jest parrilla, bez której nie funkcjonuje żaden tutejszy dom. Urugwajczycy grillują bardzo dużo. Skoro produkują dużo mięsa, to i dużo go jedzą.

Po czterech godzinach pożegnaliśmy się czule – w Urugwaju jest zwyczaj, że wszyscy się całują i na powitanie, i na pożegnanie. Wszyscy: kobiety z kobietami, mężczyźni z mężczyznami i mężczyźni z kobietami. Jak wszyscy, to wszyscy. My też weszliśmy w ten zwyczaj z marszu.

•

Po śniadaniu u Cleusy pojechaliśmy na Stare Miasto. Zabytkowa część Montevideo jest dosyć rozległa, z architekturą w stylu kolonialnym. Urugwaj był w pierwszej kolejności skolonizowany przez Portugalczyków, którzy oddali go później Hiszpanom. I chyba raczej nie było to oddanie z dobrej woli.

Przed symboliczną bramą do Starego Miasta jest wielki plac (Plaza Independencia) z pomnikiem pierwszego prezydenta –

Joaquin Suarez w centralnym punkcie. To serce kolonialnego Montevideo, główne miejsce miasta.

Stare Miasto znajduje się bardzo blisko portu, jest położone tak, że idąc główną arterią, która nie jest zbyt szeroka, z jednej i z drugiej strony ulicy widzi się w oddali morze. Montevideo to miasto wielu pięknych fontann i wielu przeróżnych pomników oraz rzeźb stojących w parkach. Zaliczamy tu też sławne widoki ludzi chodzących z termosem pod pachą i swoim kubkiem z yerba mate. To nie jest mit. Oni naprawdę to zioło piją i sobie chwalą. Na przystankach, w autobusach i w parkach, piją wszędzie.

•

Przyszedł czas na pierwsze prace przy motocyklach. Poprawialiśmy łańcuch (korekta luzu łańcucha – jak to mówi mój mąż). Sprawdziliśmy poziom oleju itp. Chyba nas już trochę nosi, żeby wreszcie wyruszyć na nich w drogę...

Czy wspominałam, że mamy za dużo bagażu?! Byłam bliska wyrzucenia wszelkich niepotrzebnych rzeczy, takich jak na przykład zimowa kurtka. Po co komu potrzebna kurtka w środku lata w Urugwaju? Na razie skończyło się na wyrzuceniu jeszcze jednej pary dżinsów, które były niepotrzebne, dwóch koszulek i starej torby, w której mieliśmy zimowe ciuchy, w których przyjechaliśmy z Polski do Hamburga.

Podczas pobytu u Martina panowały niezmiennie ogromne upały. Nawet w nocy nie dawało się spać. Przez ten upał na przedramionach zrobiły mi się potówki. Drobne wypryski, bardzo swędzące. Było to dosyć uciążliwe. Praktycznie nie dało się temu zaradzić. Trzeba było z tym żyć i przeczekać do momentu ich zniknięcia.

Z wielkim podnieceniem oczekiwaliśmy początku naszej wyprawy. Rejs statkiem, jaki odbyliśmy, bardzo nam się dłużył, ale z drugiej strony czuliśmy dokładnie to samo, co czuli pasażerowie Chrobrego. Morze, nuda, marazm. My mieliśmy to szczęście, że nie było takiego natłoku ludzi.

Po trzydziestu trzech dniach przybiliśmy do Montevideo. To był nasz port przeznaczenia. Nie było to dokładnie tam, gdzie w 1939 przyплыли Polacy transatlantykiem Chrobry, bo ten zawinął do Buenos Aires. Nie ustawiliśmy jednak w poszukiwaniach, gdyż okazało się, że w Montevideo także można coś zdziałać, że jest tam sporo potomków Polaków. Podczas pobytu w stolicy Urugwaju mieliśmy przyjemność nocować u Martina Quintela, który spędził cztery lata w Polsce, pracując w teatrze na Lubelszczyźnie.

Martin zorganizował nam spotkanie z człowiekiem, który mógł nam pomóc w poszukiwaniach. Tym człowiekiem był Daniel Klisich di Vietri, konsul honorowy Republiki Serbii.

Spotykamy się w budynku byłej ambasady Jugosławii. Miło rozmawiamy, konsul przegląda z zainteresowaniem kopie list pasażerów, które mamy ze sobą. Przy okazji dowiadujemy się paru istotnych dla nas rzeczy (i paru nieistotnych: plotek,

pomówień i insynuacji...), po czym dostajemy adres mailowy kogoś, kto być może zna kogoś o nazwisku z naszej listy. Niestety, z tego źródła niczego nie udaje nam się uzyskać. Nie dostajemy odpowiedzi.

Martin próbuje nam jeszcze zorganizować spotkanie z dziennikarką telewizji, ale plan spalił na panewce. Chyba w Urugwaju niczego nie osiągniemy...

Pierwsze kilometry

Na kolejny dzień zaplanowaliśmy wyjazd do Colonia del Sacramento. Nie chcieliśmy za bardzo nadużywać gościnności naszych gospodarzy. Wstaliśmy zatem wcześniej, bo najpóźniej o siódmej planowaliśmy wyruszyć. Rano czekała nas gimnastyka z przymocowywaniem sakw i innych bagaży. Mieliśmy przez nią przechodzić jeszcze wielokrotnie podczas tej podróży. Prawie godzinę zajęło nam wystawienie motorów z ogródka Martina za domem, zainstalowanie sakw, worków, plecaków, tankbagów (czy wspominałam już, że mamy ZA DUŻO RZECZY?) i trochę przed wpół do ósmej wreszcie wyjechaliśmy.

Przejechaliśmy praktycznie bez zatrzymywania się sto siedemdziesiąt siedem kilometrów, droga była prosta, przeważnie dwupasmowa, choć trudno ją porównać do autostrad, jakie znamy z Europy: bez poboczy, asfalt ze sporymi dziurami, ale za to dwa pasy. Na pierwsze kilometry oswajające nas z Ameryką Południową było w sam raz. Wokół rozpościerał się dosyć monotony krajobraz, gdzieniegdzie pojawiała się tylko niska zabudowa, dużo pastwisk z krowami i rancz (czy jest takie słowo?) z końmi. Do Colonia del Sacramento wjeżdża się aleją palm, tak że wrażenie było niesamowite. To miasto, założone w 1680 roku przez Portugalczyków, przez wiele lat przechodziło z rąk do rąk. Podpisywano wiele traktatów, które przyznawały Hiszpanom lub Portugalczykom prawo do niego. Na początku XIX wieku trafiło na krótko do Brazylijczyków, by w 1828 roku ostatecznie zostać miastem urugwajskim. Colonia del Sacramento trochę nas rozczarowała. To znaczy: jest to piękne miasto, ale bardzo trudno było nam się tam odnaleźć. Może to z winy naszego lekkiego zdenerwowania tym, że musimy już sami sobie radzić ze wszystkim. Cały czas pilnowaliśmy swoich rzeczy na motocyklach i trudno nam się było zrelaksować i skupić na zwiedzaniu.

Miasto wpisane jest na *Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO*, zachowało bowiem swoją prawie oryginalną architekturę na Starym Mieście. W najważniejszym historycznie punkcie miasta, na Plaza Mayor del 25 de Mayo, widać wiele portugalskich konstrukcji z XVIII wieku, piękną latarnię morską i ruiny oryginalnych portugalskich domów. W mieście panuje specyficzny klimat, jakby czas stanął tu w miejscu. Widzieliśmy wielu turystów, ale nie tak wielu jak w innych tego typu turystycznych miejscach.

Zatrzymaliśmy się dziesięć kilometrów od centrum, na kempingu. Zapłaciliśmy trzynaście dolarów, czyli dwieście siedemdziesiąt pięć peso urugwajskich, i rozbiliśmy namiot. To była nasza pierwsza próba (udana zresztą) rozłożenia namiotu i całego naszego kempingowego ekwipunku. Wszystko poszło sprawnie, nawet kuchenki, które mieliśmy ze sobą, zadziały. Ugotowaliśmy pierwszy raz podczas tej wyprawy spaghetti i spaliśmy pierwszy raz w namiocie. W nocy było tak gorąco, że nie mogliśmy spać, nasze śpiwory zapewniały nam ciepło do minus pięciu stopni Celsjusza (według danych producenta). A tu było ze 24,25 stopnia. Gorąco.

Kolejny raz przepakowaliśmy nasze bagaże. Na razie wymyśliliśmy tyle, że w jeden worek włożymy ciuchy na chłodne dni, aby ich ciągle nie musieć wyciągać. Kolejne segregacje ubrań i innych rzeczy przyprawiały mnie o nerwowe telepanie.

Na kempingu dokonaliśmy jeszcze ważnej operacji mocowania uchwytu do GPS-u (przez zbyt wystający tankbag trzeba go było zmodyfikować).

Kolejnego dnia chcieliśmy już być w Argentynie. Urugwaj był dla nas koszmarnie drogi. Paliwo kosztowało dwa dolary. Nawet jeśli liczyliśmy tylko po kursie trzy złote, to i tak wychodziło sześć złotych za litr benzyny. Nie podobało się nam to. Ceny paliwa po prostu nas mroziły. Pożywienie – no też nie było dobrze. Przestałam przeliczać, bo jak mi za serek dwieście

osiemdziesiąt gramów wyszło dziesięć złotych, to zasłaabłam. Z drugiej strony – sery są dosyć drogie, od trzydziestu pięciu złotych w górę za kilogram. Może są z mleka? A nie, tak jak w Polsce, z chemicznych preparatów z odrobiną mleka.

W każdym razie na następny dzień zaplanowaliśmy wyjazd. Mieliśmy nadzieję przekroczyć granicę za mniej więcej trzysta kilometrów. W sumie mieliśmy na to cały dzień. Wierzyliśmy, że damy radę.

Niestety, moje potówki rozprzestrzeniały się na skórze i zajmowały coraz większą powierzchnię. Swędzenie było bardzo uciążliwe, nie wspominając o tym, że wyglądało to paskudnie. Mało elegancko, ale za to jak podróżniczo...

•

Dzień zapowiadał się bardzo dobrze, wstaliśmy rano wyspani, wypoczęci. Jednakże kłopoty zaczęły się już przy śniadaniu. Kupiliśmy wczorajszego dnia płatki do mleka. Niestety. Okazało się, że pełno w nich dziwnych robaczków. Różnych. Pierwszy kłopot. Zaczęliśmy się pakować, żeby zgodnie z planem przekroczyć granicę z Argentyną, a tu drugi kłopot – deszcz. Może nie wielki, ale ustawiczny. Przemoczyło nam wszystko, bo byliśmy w połowie pakowania, wszystko rozgrzebane, część spakowana, część rozłożona. Szybko złapaliśmy plandekę i przykryliśmy, co się dało. Tak przeczekaliśmy piętnaście minut, po czym wykorzystując chwilę przerwy w deszczu, szybko zamocowaliśmy resztę rzeczy na motocyklach i ruszyliśmy w drogę. Trzeci problem. Wyszło słońce. Wielkie, gigantyczne, przeogromne. Ciepło. Gorąco. Daję słowo, że odczuwalna temperatura wynosiła co najmniej czterdzieści stopni.

Czy tak już będzie podczas całej podróży?

Czy wszystkie nasze wyobrażenia o tym wyjeździe będą się różniły od rzeczywistości?

Na te nurtujące nas pytania jeszcze wtedy nie znaleźliśmy odpowiedzi... Na szczęście podczas jazdy chłodził nas lekki wiatr, więc i dobry humor powrócił.

Przemieściliśmy się z wybrzeża przez Carmelo i Dolores do Mercedes. Upał był ciągle nieznośny. Nasze czarne kaski przyciągały promienie słoneczne z prędkością światła i głowy zaczynały po prostu puchnąć. Co prawda podczas jazdy motocyklowe odzienie spełniało swoją funkcję – ochraniało i zapewniało cyrkulację powietrza dzięki wywietrznikom, ale ogólnie było tak gorąco, że jazda wymagała od nas sporo wysiłku.

•

Dojechaliśmy do Dolores, ale była już dwunasta, więc wszystkie sklepy zamykano. Ciągle nie mogliśmy się do tego przyzwyczaić. Zdążyliśmy jeszcze wymienić dolary i ostatnim rzutem na taśmę kupić kilka świeżutkich pomarańczy w zamkniętym już sklepiku. Po zaspokojeniu pragnienia owocami ruszyliśmy w dalszą drogę. Udało nam się dojechać do Mercedes, oddalonego o jakieś sześćdziesiąt kilometrów, i tam powiedzieliśmy pas, na dziś wystarczy tej jazdy. Przecież nie mamy się dokąd aż tak bardzo spieszyć. Na stacji benzynowej dowiedzieliśmy się, jak wygląda sprawa z kempingami, i zatrzymaliśmy się na jednym z nich – Isla del Puerto. Jak dotąd słabo nam szło z couchsurfingiem, pewnie dlatego, że ciągle mieliśmy słaby i nieregularny dostęp do internetu, co skutecznie utrudniało kontakt z naszymi potencjalnymi gospodarzami.

W Mercedes rozbiliśmy się na kempingu, naszym drugim podczas tej wyprawy. Cena była cztery razy niższa niż w Colonia del Sacramento. Morał nasuwał się sam: nie warto zatrzymywać się w bardzo turystycznych miejscach. Drożyzna kosmiczna. Warto zobaczyć miasto przejazdem i jechać na nocleg gdzieś dalej.

Wjeżdżając na kemping, mieliśmy jeszcze mały wypadek. Motocykl przy próbie postawienia go na stopkę centralną położył się na ziemię. Ciągłe jeszcze borykaliśmy się z małym doświadczeniem motocyklowym. Mieliśmy jednak nadzieję, że z biegiem dni i kilometrów będzie coraz lepiej.

Nie sposób utrzymać ponad dwieście kilogramów, które traci stabilizację i leci na drugą stronę. Maszyna zahaczyła o płot, który był bardzo blisko, i utopiła się w rowie. Nijak nie można było jej podnieść.

Jednak siła motocyklowej braci jest wielka! Człowiek, który akurat przechodził, bez wahania przeskoczył przez płot i pomógł nam podnieść maszynę. Niestety podczas jej upadku ponieśliśmy też straty. Pękł przełącznik od kierunkowskazów oraz ułamał się komunikator przymocowany na boku kasku. Podczas upadku kask, który wisiał na lusterku, został przygnieciony i mocowanie komunikatora się ułamało. Jeszcze tego nam wtedy brakowało, żebyśmy byli bez komunikacji.

Po całym tym zamieszaniu z pobieraniem naszych rzeczy musieliśmy się ogarnąć i przygotować do noclegu. Ustaliliśmy czym prędzej priorytety: po pierwsze jedzenie i miejsce do spania. Zostałam na kempingu pilnować dobytku, rozłożyłam namiot i odczepiłam część sakw, a Krzysiek pojechał do sklepu po zakupy na kolację. Wkrótce już jedliśmy pyszny posiłek z miejscowych warzyw, owoców i pieczywa. Nie lubimy się rozstawać w podróży, ale musimy pilnować dobytku, więc jest łatwiej i szybciej, jeśli każde z nas zajmuje się swoją częścią zadań.

Niespodziewane spotkanie

Wieczorem zrobiło się bardzo ciekawie. Nasi sąsiedzi, młoda para z dwójką dzieci, ostrzegali nas, że będzie „szubia”. Co to

jest „szubia”? Przeszukałam mój słownik znajdujący się w głowie i nic takiego nie było. Rzecz oczywiście wyjaśniła się trochę później. Północna część Argentyny i Urugwaj bardzo akcentują podczas wymowy „sz” zamiast „ż” bądź „dż”. Szumią po prostu. Nie mówią „yo” tylko „szo”. Będzie więc *lluvia*.

Ostrzegano nas przed nadchodzącą ulewą. Prognozy synoptyków zakładały, że w nocy nad Mercedes przejdzie wielka burza z dużymi opadami i wiatrem. Istniało zatem niebezpieczeństwo spadania z drzew gałęzi. Oprócz tego wody Río Negro, która przepływała kilkanaście metrów dalej, mogły się gwałtownie podnieść. Niezrazeni tym pozostaliśmy na miejscu, ale czujnie obserwowaliśmy zachowanie ludzi na kempingu. W razie awaryjnej sytuacji mieliśmy się wszyscy schronić do murowanego budynku, gdzie były toalety i prysznic. Około godziny dwudziestej trzeciej, kiedy to bezskutecznie próbowaliśmy złapać internet (sieć wi-fi), na kempingowy parking wjechał z piskiem opon wielki motocykl z gatunku ścigaczy.

Dwie osoby, które siedziały na motocyklu, zdjęły kaski i zbliżyły się do nas. Zrobiło się dziwnie, bo w sumie noc, ciemno, a tu ktoś czegoś od nas chce, w dodatku w obcym kraju. No, nic tylko się bać. Podeszedł do nas kierowca, mężczyzna w słusznym wieku, dobrze zbudowany, i kobieta dobrze po pięćdziesiątce.

– Witamy w Urugwaju, ktoś nam powiedział, że na kempingu są Polacy, motocykliści. Przyjechaliśmy was zobaczyć i poznać. Nieczęsto spotyka się tu gości z Europy, w dodatku na motocyklach.

– Bardzo nam miło – odpowiedzieliśmy trochę zdezorientowani.

Przedstawili się jako Horacio i Elena. Horacio był architektem, a Elena nauczycielką angielskiego. Rozmowa zatem mogła się toczyć po angielsku.

– Na noc zapowiadana jest duża ulewa, przyjdźcie do nas na noc, mieszkamy tuż obok, w mieście, zapraszamy – powiedziała Elena.

Popatrzyliśmy po sobie zaskoczeni taką propozycją. Jednak czy to z powodu nieśmiałości, czy jakiejś obawy podziękowaliśmy grzecznie, ale obiecaliśmy, że przyjedziemy jutro rano. Horacio podjechał zatem na motorze do domu, przywiózł butelkę piwa i wypiliśmy ją przy kempingowym kamiennym stole, rozmawiając o tym, jak to jest w Urugwaju, jak się tu jeździ po drogach motocyklami i dlaczego warto odwiedzić Urugwaj.

Po godzinie miłej rozmowy Horacio i Elena pojechali do domu, my zaś zmęczeni, a jednocześnie podekscytowani tym dniem poszliśmy wreszcie spać.

W nocy na szczęście nie padało, rano mogliśmy spokojnie złożyć po śniadaniu wszystkie nasze rzeczy: materace, śpiwory, namiot, plecaki, sakwy. Wszystko w miarę sprawnie zapakowaliśmy na motocykle i podjechaliśmy zgodnie z obietnicą do domu Horacia i Eleny.

Jak przystało na architekta, Horacio ma pięknie rozplanowany dom, a w zasadzie dwa domy. Jeden oddzielony od drugiego niewielką podwórkową przestrzenią, z wydzieloną małą częścią na zielone rośliny. Po ponownym serdecznym powitaniu gospodarze przygotowali *asado* i mieliśmy okazję po raz pierwszy uczestniczyć w tym obrzędku. Najważniejsza w całym tym wydarzeniu jest parrilla, czyli miejsce do grillowania. Przypomina to trochę nasze klasyczne kominki czy grille, ważne jest jednak miejsce, gdzie można zrobić ogień z węgla drzewnego lub z drewna.

Gospodarze przygotowali kurczaka i wielkie, soczyste, wołowe żeberka, pokrojone grube paski. Do tego Elena przyrządziła sałatkę z pomidorów i sałaty, tak że mieliśmy naprawdę dużą ucztę.

Na deser były lody. A lody, musicie wiedzieć, to w Urugwaju nie są po prostu lody. W Urugwaju lody to LODY!!! Robione na ŚMIETANIE. Lody w Urugwaju to po prostu marzenie.

•

Poznajemy bliżej yerba mate. Pomimo że Mercedes to już ostatnie miasto na naszej urugwajskiej trasie, możemy dopiero teraz zobaczyć, jak bardzo mate jest popularna w tym kraju. Małe przykłady widzieliśmy w Montevideo, ale tutaj uderzyło nas to z wielką jaskrawością. Mate jest napojem narodowym jako spuścizna po Indianach Guarani, to ulubiony napój Urugwajczyków. Piją go wszyscy dorośli. Chodzą, trzymając w dłoniach małe pojemniczki i obowiązkowo termosy. Mate to rodzaj ziół, suszone liście zalewa się zimną wodą. Musi nasiąknąć, a później dolewamy gorącej wody, ale nie gorętszej niż siedemdziesiąt stopni Celsjusza. Inaczej mate traci swoje właściwości. Później wypija się napar, dolewając co chwila niewielkie ilości wody z termosu. Zawartość pije się przez rurkę zwaną *bombilla*.

Od Eleny i Horacia dowiadaliśmy się coraz więcej i więcej o picciu mate, tego szlachetnego napoju. Picie mate ma swoją symbolikę, która odnosi się do przyjaźni, kooperacji, akceptacji czy równości pomiędzy ludźmi, którzy dzielą z sobą tradycję picia mate. Cały dzień dolewaliśmy do mate wodę i popijaliśmy w gronie nowych znajomych.

•

Po południu lunął deszcz. Ten zapowiadany na noc. To nie był deszcz. To była ogromna ulewa. Lało i lało rzęście, aż w końcu zapytaliśmy naszych gospodarzy, czy moglibyśmy u nich przemocować i rano pojechać do Buenos Aires. Horacio i Elena byli bardzo zadowoleni, że mogli nas gościć jeszcze pewien czas.

Horacio przypomniał sobie, że ma w Buenos Aires kolegę motocyklistę. Zadzwoił do niego i poprosił o przysługę – pomoc dla motocyklistów (czyli nas) i zaopiekowanie się nami przez następnych parę dni.

U Horacia zamocowaliśmy oderwany komunikator, bo dobrze jest się słyszeć podczas jazdy.

Po południu niebo zrobiło się czarne i lało przeszło trzy godziny, aż na podwórzu zrobił się prawie basen, a ulicą płynęła niemal rzeka. Wieczorem, pomimo że już nie padało, niebo było zaciągnięte czarnymi chmurami, a w oddali pojawiały się błyskawice.

W czasie deszczu Elena przygotowała tarta frita. To ciasto, które przyrządza się z mąki, drożdży, tłuszczu, soli i ciepłej wody, które miesza się na jednolitą masę. Masa trochę rośnie, po czym wałkuje się ciasto, formuje placuszki i kiedy trochę urosną, piecze na gorącym głębokim tłuszczu. Tradycją jest, jak mówiła nam Elena, że przyrządza się je w czasie deszczu.

Wieczorem pojechaliśmy samochodem Horacia na objazdową wycieczkę po mieście.

Mercedes jest dosyć dużą miejscowością, około czterdzieści tysięcy mieszkańców. Tym, co nas najbardziej zdumiało, był okazały budynek miejscowego klubu sportowego, gdzie mieszkańcy mogli ćwiczyć przeróżne konkurencje. Duży basen, korty tenisowe. Jakoś nie pasował nam obraz tego miasta do wcześniejszych wyobrażeń o Urugwaju.

Typowa rzecz dla Urugwajczyka to uprawianie sportów. To naród szczególnie czuły na punkcie futbolu, piłka nożna jest tu bardzo, bardzo popularna. Ale też inne sporty, jak siatkówka, kajakerstwo, walki wschodnie, pływanie, koszykówka, mają liczne rzesze zwolenników i dobrych zawodników.

Przez miasto przepływa rzeka Río Negro. Swego czasu była żeglowna dzięki swojej głębokości dochodzącej do dwunastu

metrów. Objechaliśmy większość miasta, oglądając co ciekawsze miejsca i zabytki.

Elena i Horacio to przemili ludzie. Życzliwi, spokojni, pomocni. Byliśmy zadowoleni, że ich poznaliśmy i że mogliśmy spędzić z nimi trochę czasu.

Rano padało jeszcze bardziej niż poprzedniego dnia. My jednak wyczekaliśmy na przerwę w deszczu i zdecydowaliśmy się na wyjazd do Buenos Aires. Niebo jakby przejaśniało, nie było na co czekać.

Żegnani czule przez Elenę i po męsku przez Horacia – wyruszyliśmy. Nasi gospodarze konwojowali nas jeszcze do głównej drogi, pomachali nam na pożegnanie i pojechaliśmy.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie ponownie nadciągające chmury. Aż strach się bać. Niebo granatowało z każdą sekundą bardziej. Niezrażeni niczym jechaliśmy dalej. Nasza odwaga została wystawiona na ciężką próbę. W ciągu pół godziny od wyjazdu z domu Eleny i Horacia lunęła na nas ściana deszczu. Dosłownie. Błyskawice dopełniły grozy sytuacji. Nie było się gdzie zatrzymać i schronić, dookoła pola i łąki. Jechaliśmy w tym deszczu, klnąc w duchu, bo nie chciało nam się włożyć membran przeciwdeszczowych. Teraz się to mściło. Byliśmy zmoczeni tak, że nawet majtki mieliśmy mokre. Bez membran kurtka niestety nie dawała rady pod takim naporem deszczu.

Jakby tego było mało, mocowany u Horacia komunikator odczepił się od jednego kasku i straciliśmy możliwości komunikowania się.

W końcu, po półgodzinie rzęsistego deszczu, dojechaliśmy na stację benzynową. Pierwsze zadanie od początku nawałnicy. Zatankowaliśmy paliwo i szarą taśmą tymczasowo przykleiliśmy komunikator.

Ruszając dalej w stronę granicy, mieliśmy więcej szczęścia, bo zaczęło się przejaśniać. Słońce nieśmiało wychodziło zza chmur, aby po jakimś czasie rozgonić resztki dawnej złej pogody. Temperatura osiągnęła ponad trzydzieści stopni. W pewnym sensie to było dobre, bo pod wpływem temperatury i pędu wiatru podczas jazdy nasze kurtki motocyklowe prawie całkiem wyschły. Nie dotyczyło to jednak skarpetek ani majtek...

ARGENTYNA PO RAZ PIERWSZY

Gdy wjeżdżaliśmy do Argentyny, pierwszym, co rzuciło się nam w oczy, były niebieskie tablice, a na nich wyrysowane na białym tle wyspy i hasło „Las Malvinas son Argentinas”. Te tablice pojawiają się w wielu miejscach w Argentynie. Wiadomo, że o Falklandy toczona była (niepotrzebna) wojna z Anglikami, którą Argentyńczycy przegrali. Cały czas jednak wszyscy w Argentynie twierdzą, że to są ich wyspy i nie może być inaczej.

Formalności na granicy we Fray Bentos nie trwały długo. Dostaliśmy bezpłatnie pozwolenie na wjazd do Argentyny na dziewięćdziesiąt dni. Ja myślałam tylko o tym, że w butach mi chłupocze. Na szczęście było gorąco, nawet bardzo gorąco, więc nie odczuwałam zimna, tylko dyskomfort.

Na dzień dobry w Argentynie zapłaciliśmy po czternaście peso od motoru za przejazd przez most graniczny z Urugwajem. Deszcz przestał padać, więc postanowiliśmy jechać dalej w lekko mokrych jeszcze ubraniach, aby całkiem wyschły przewiewane wiatrem. Do pokonania mieliśmy około dwustu kilometrów. Po jakiejś godzinie jazdy ubrania były w miarę suche. Niestety w butach wciąż nam chłupała woda. Na stacji benzynowej przepakowaliśmy worki z ubraniami i wpięliśmy membrany przeciwdeszczowe. W toalecie zmieniliśmy bieliznę